Lwów, 17. Kwietnia. №45. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. w kraju z przesyłka pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuja się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za nastep. po 1½ kr. i za dopłate 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział III.

SKROMNE I CICHE KOLEJE ŻYCIA.

(Ciąg dalszy.)

Chociaż się nikomu nie zwierzał ksiądz Dominik z tych swoich myśli i uczuć, nie bez tego przecie było, żeby się kiedy nie wymówił z zupełnem przekonaniem, o tem, co zapełniało całą duszę jego. Wkrótce rozniosło się po celach klasztornych, że ksiądz Dominik miewa wizje, przeczucia, cudowne sny. Dla prostych zakonników, którzy po większej części nic nigdy nie czytali prócz brewiarza, których umysły nigdy nie potrafiły wyjść za ciasne obręby ich życia zakonnego, ksiądz Dominik wydał się kacerzem, nowatorem. A że do tego przełożonym klasztoru był wówczas człowiek fanatyczny, rozmaite spadły prześladowania na biednego ojca Dominika. Znosił je wszystkie poczciwy ksiądz z pokorą i uległością godną pierwszych czasów chrześciańskich, ale trwał tem więcej w przekonaniach swoich. Wiadomość o nowym kacerzu przeszła z klasztorka nad Wilją do przełożonych zakonu, i po długich napomnieniach i karach duchownych, gdy nic nie skutkowało z jednej strony, a z drugiej strony zakonniki wszystkie lubili poczciwego ojca Dominika, i ten klasztorek miał nawet niejakie obowiązki wdzięczności za poczynione mu przez niego dary, postanowiono za całą karę wysłać go do Rzymu, by tam w głównym zakonu tego klasztorze wyleczył się z chwilowego obłąkania swego.

Tym to sposobem ksiądz Dominik musiał porzucić ojczyznę, co mu serdeczny sprawiło ból, i mnogie przepędził lata, po rozmaitych klasztorach swego zakonu, a nawet do ziemi świętej pielgrzymować musiał. Usposobienie mistyczne zostało w nim na zawsze, chociaż je taił; w możliwość wizyi wierzył zawsze, a choć sam nie doświadczył w tym względzie nic takiego, coby szło na poparcie zdań jego, nie przypisywał to niepodobieństwu, ale w swoim własnym za nadto jeszcze grzesznym stanie dopatrywał przyczyny. Gdy wrócił nareszcie do kraju, nie zastał już pana Jana; przed rokiem był umarł zapisawszy młynek i grunt na klasztor, pod warunkiem, żeby księdzu Dominikowi pozwolili wrócić do ojczyzny. Pan Jan wiedział, ile cierpić musi jego przyjaciel na to oddalenie od kraju rodzinnego.

Usposobienie to księdza Dominika tłumaczy zatem najlepiej całe jego postępowanie z wyratowanym chłopcem. Ten sen jaki miał w chatce kmiotka, ten szczególny popęd, który go przywiódł pod bramę samotnego dworku, wydały mu się cudownem pojawieniem boskiem, aby to dziecko tak cudownie wyratowane sam wychował. Zbieg okoliczności pobożny Swedenborgista wziął za palec opatrzności, która sama dalszym losem chłopca zakieruje wedle woli swojej.

Zajmywał się tymczasem ksiądz Dominik Witołdem z uczuciem ojca, a troskliwością matki. I przez dziwne, jak nieraz w duszy myślił, zrządzenie, znalazł w dziecku widoczne powinowactwo myśli i serca z sobą, nie zważając na to, że może wychowaniem swojem wpłynął na kierunek, w który zwracały się wszystkie zdolności młodego chłopca.

Zdolności jego były wielkie; pojętny nad wszelki wyraz, rozumował umysłem w tym już wieku, kiedy inne dzieci, ledwie zaczynają fizyczne zbierać wrażenia. Serce miał najlepsze, pełne szlachetności, szczere i otwarte. Ale to wszystko otaczała, że się tak wyrażę, jakby mgła świata fantastyznego marzeń, w którym Witołd żył od dziecka. Nic nie czuł jak drudzy czują, ani też pojmował po prostemu jak drudzy. Exaltowany sercem i myślą, kochał otaczający go świat z zapałem, wzmożonym jeszcze przez zapatrywanie się na ten świat, jako na zbiór cudów nieodgadnionych jeszcze, a pojawiających się ciągle w każdej najlichszej istocie, w każdym onego pyłku. Chociaż mu nigdy ksiądz Dominik nie udzielał swoich mistycznych przekonań, młody chłopiec miał już z przyrody pociąg niepospolity do życia marzeń, w którym koniecznie przedmioty wszelkie oblec się muszą w mgliste szaty.

Do tego usposobienia jakie się codzień mocniej wyrabiało w Witołdzie, przyłożyły się najwięcej dwie okoliczności. Dzieckiem małym będąc jeszcze chorował kilka razy mocno na głowę, w skutek zapewne owej rany, na główce dziecka wypalonej. Im był starszym, tem mniej cierpiał na to, ale przecież od czasu do czasu odzywały się mocne bole głowy, które wstrząsały potężnie cały jego układ nerwowy. To ze strony fizycznej. Ze strony zaś moralnej, na usposobienie to wpłynął niepomału w wieku już dziecinnym

pojawiony talent do malarstwa, olbrzymim krokiem rozwijający się w nim. Talent wielki jest to zapewne dar Boży, bo z niego spływa pożytek dla ogółu, ale staje się często niebezpiecznym darem dla człowieka któremu się dostał w podziele. Jako ogień zbytni, rozsadza często kruche naczynie w którym się pali. Chłopiec starał się oddać na papierze czy na płótnie te ideały, które sam sobie tworzył w marzeniach swoich. Pierwszych nauk rysunku i malarstwa udzielał mu ksiądz Dominik, który jak to wiemy sam miał talent do tego, a wczasie pobytu swego we Włoszech znacznie go wykształcił. Uczył go z resztą dziejów ojczystych, i tych wszystkich podań dzisiejszych i rodzinnych tak poetycznych, które dawniej przylegały do każdego dworu i dworku, do każdego kościółka, i do każdego niemał kółka naszej ojczyzny. Rozpowiadał też mu co widział, co słyszał, i czego się nauczył w cudzych krajach; chłopiec słuchał to z uwagą, pojmował wszystko i rzeczywiście miał wiadomości w ogólnym tego słowa wyrazie, nad wiek swój.

Zbawienna nadzwyczaj była dla niego znajomość Szambelana, który znudzony roztrzepanem życiem światowem osiadł we wsi, i niemogąc spokojnie usiedzieć na miejscu, tłukł się po swojej okolicy jak szara gęś. Zajechawszy raz do klasztoru, i poznawszy księdza Dominika i jego wychowańca, polubił obydwóch, a do młodego chłopca przywiązał się nawet z całą porywczością kapryśną swego usposobienia. Towarzystwo Szambelana, jego cała powierzchowność, i jego rozmowy wpływały na Witołda jakby napój trzeźwiący; a książki których mu podostatkiem udzielał wybierane wszakże pierwej przez księdza Dominika, rozprzestrzeniały wiedzę jego, a tem samem odwracały umysł od zbytniego oddawania się marzeniom.

Tak więc rzeczy stały w chwili do której przyszliśmy w powieści naszej. Pochodzenie Witołda było tajemnicą, która jak się zdawało. zostanie nią na zawsze: jedyną pamiątką owej sceny okropnej jaką przebył, pezostały suknie jego dziecinne, chowane skrzętnie przez księdza Dominika; i owa kolista blizna na głowie, którą chłopak młody przezwał w swym poetycznym języku wieńcem cierniowym. —

Rozdział IV.

PIERWSZE WRAŻENIA NAJMOCNIEJSZE.

Dnia 13 Czerwca r 1806 wielki ruch panował od do dnia w samym klasztorze i w koło niego. W dzień św. Antoniego, odbywał się wielki odpust przy kościele Karmelitańskim nad Wiliją, i zwykle w ten dzień bywał zjazd wielki szlachty okolicznej, i ludu zebranego ze wszystkich wiosek na mil kilka w około.

Dniem już wprzódy strojono w kwiaty kościółek w czem odznaczał się nasz młody Witołd, znosząc pęki najrozmaitszych kwiatów, których dostarczał podostatkiem ogród klasztorny, pielęgnowany przez niego i jego opiekuna: to też kościół cały wyglądał jakby ogród jaki, pełny barw i woni. Byłoto zajęcie jego ulubione, bo po marzeniach i malarstwie najwięcej kochał się w kwiatach, upatrując w nich koniecznie tajemnice jakieś.

Sam dzień odpustu był dla niego dniem bardzo miłym, bo cała ta uroczystość, te śpiewy kościelne, towarzyszone pobożnym wtórem zebranego ludu, te tłumy ludzi korne wznoszących modły, przemawiały nadzwyczaj do jego wrażliwego umysłu. Nie bez tego też, że odzywały się w nim niektóre strony dziecinne jeszcze, brzmiące przy takim zgiełku wesołością tak stosowną do jego wieku.

Do zatrudnień jakie jemu głównie poruczone były, należało dopilnowanie przewozu na Wilii, na którym większa część zjazdu odbywać się musiała. Przewoźnikiem był stary już i prawie zupełnie ślepy dziad, którego klasztor posiadający prawo przewozu, trzymał już z łaski tylko. Ale stary przewoźnik, jak zwykle starzy to mają ludzie, tak był uparty, że na żaden sposób nie chciał się przyznać do niezdolności swojej, i ani dał sobie powiedzieć o przybraniu pomocnika jakiego. Nie wiele miał on wprawdzie do czynienia przez rok cały, bo drożyna przez las prowadząca nie była żadnym traktem, ale przy czterech głównych odpustach, a mianowicie na św, Antoniego, prom księży karmelitów w ciągłym był ruchu. Stary przewoźnik i młody Witołd żyli z sobą w wielkiej przyjaźni: stary młodemu rozpowiadał owe gadki litewskie w których się tak kocha prosty lud tamtejszy, a młody starego orzeźwiał samą żywością wieku swego, i w zamian za proste ludowe gadki, rozpowiadał mu podania dziejowe z książek czerpane. Witołd pokochawszy starego przewoźnika litował się nad jego coraz zwiększającą się ślepotą, i o ile tylko starczyło mu czasu, pomagał staremu Szymonowi, który gdyrał niby na roztrzepanie i niezgrabność młodego wieku, ale przecie chętnie powierzał ster promu paniczowi klasztornemu, jak Witołda nazywał.

W dzień tedy św. Antoniego od rana już siedział na promie nasz młody bohatyr, i za każdem zawołaniem spieszył na drugi brzeg, i przewoził przyjeżdżających. Z początku towarzyszył mu i stary Szymon, lecz zmęczony wreszcie usiadł na przyspie przed chatą, i z tamtąd tylko udawał że nadzór nad młodym towarzyszem prowadzi.

Już było około godziny dziesiątej; dzwony kościelne uroczystym odzywały się głosem, zwołując wiernych na zbliżającą się już summę, gdy wzdłuż drogi pojawił się nowy jakiś porządny powóz, i zbliżył się do przewozu. Na brzegu od strony Kalwaryi, przy samym przewozie dwie zchodziły się drogi i właśnie gdy z prawej strony toczył się ciężki dosyć i obszerny, czterma końmi ciągniony powóz, mgłą kurzawy okryty, z lewej strony dojeżdżał do przewozu orszak podróżnych innego rodzaju. Był to or-

szak konny z kilkunastu ludzi złożony, otaczający wóz jakiś doskonale naładowany. Na czele tego orszaku dwóch mężczyzn jechało, w których powierzchowności całej najzupełniejsza była sprzeczność, bo gdy jeden był bardzo stary i w polskim stroju, drugi był bardzo młody, ubrany najstaranniej po ówczesnej modzie francuskiej.

Skoro się ten orszak pokazał, organista kościelny, który z dzwonnicy przez cały ranek prawie ku tej właśnie poglądał stronie, dał znak chustką, i na raz wszystkie ozwały się dzwony, i ozwał się wystrzał jeden i drugi i trzeci z moździerza który klasztor do obchodu wielkich uroczystości posiadał i używał. Przywitanie to było zwrócone do konnego orszaku. Na czele bowiem jego jadący starzec, była to najważniejsza figura w całej okolicy, i majątkiem i dostojeństwem, stosunkami i koligacjami. Pan chorąży Wenda, pan zamożny i dumny, był dziedzicem mnogich włości, klasztor karmelitów nad Wiliją, fundowany przez jego antenatów, na jego stał ziemi; Chorąży był głównym opiekunem i dobrodziejem klasztoru, świadczył mu nadzwyczaj wiele, i przy każdym odpuście w darze przywoził ową brykę naładowaną, mnogiemi wiktuałami i napitkami, Nadzwyczaj szanowany przez karmelitów, główną na odpustach grał rolę, i przed wszystkiemi pierwszy trzymał krok. Na niego nareszcie czekano zawsze z każdem nabożeństwem niedzielnem czy świątecznem, i dla tego też uczczono go takiem hucznem przyjęciem, które on zawsze z dumą królewską przyjmował. Był to już człowiek bardzo stary, bo miał lat przeszło 70, ale tak był zbudowany zamaszysto i barczysto, jakby wiek cały przeżyć miał. Siwy zupełnie, z ogromnemi sumiastemi wąsami również siwemi, miał twarz jedną z tych, jaką zdybujemy czasem na starych portretach, pełną, czerstwą, a wyrazistą; na czole byla duma pańska, przekonaniem i przeszło pół wiekowem doświadczeniem wkorzeniona; w oczach barwy błękitnej, było jeszcze życie, promieniące zmrokiem tak zmiennym, jak zmiennym bywał humor pański: to też oczy te umiały łyskać i groźbą i uśmiechać się dobrocią, równie jak i w sercu jego, sercu czysto polskiem i czysto karmazynowem, było miejsce i na gniew zapalczywy i na szlachetność najwspaniałomyślniejszą. Byłto jednem słowem jeden z ostatnich zabytków owej szlachty naszej, butnej, gotowej poświęcić życie i majątek dla ojczyzny z równą ochotą, jakby je wystawił na największe niebezpieczeństwo w najlichszej prywacie. Mimo wieku tak podeszłego, podróże swoje i większe nawet odbywał konno, mówiąc że kolasy tylko dla bab i nieboszczyków dobre; stajnię miał sławną w okolicy, czego dowodem był dzielny szpak na którym siedział, czystej rasy polskiej, której już dziś śladu niema prawie, a która dzielnością krwi i pięknemi kształtami najpodobniejszą była do arabskiej.

Na równie dzielnym kasztanku złotawej maści, siedział wnuk chorążego Krzysztofa Wendy, pan Artur Wenda, który z twarzy, figury, usposobienia i całego charakteru tak był podobny do dziada i całej swojej w dziejach ojczystych zasłużonej rodziny, jak — pięść do nosa, czyli by namacalniej powiedzieć, jak karzeł do olbrzyma. Szczupły, nie wielkiego wzrostu, śniady, z czarnemi oczyma i włosami, nie miał ani w twarzy nic polskiego, nic męskiego, podobny był do włoszki przebranej po męsku. Z tem wszystkiem twarz była piękna, rysy regularne, a w oczach pełnych ognia wrzał ogień nieustający, wcześnie wzburzonych namiętności. Był to jeszcze młodzieniaszek, bo ledwie lat 18 miał, ale dumą tylko podobny był do dziada, a nawet o wiele go przerastający, pysznił się niepomału wiadomościami nad wiek, które nazbierał za granicą, gdzie się chował od dziecka; i w rzeczy samej miał chłodny rozum i zimne doświadczenie, jakie na starość dopiero i to nie każdemu przychodzą, i które się w nim rozrosly kosztem serca i uczuć.

Jak więc mówiliśmy, powóz czterokonny i orszak konny gonili z dwóch stron przeciwnych ku przewozowi. Trudno było odgadnąć kto pierwej przybędzie, a w niemały ambaras wprowadzało młodego przewoźnika, którego promek nazbyt mały oba towarzystwa na żaden sposób pomieścić nie mógł. Wiedział wprawdzie jak szanowano chorążego Wendę, i że jemu pierwszeństwo się należy, które on z resztą sam sobie zdobyć był gotów, lecz według uczucia słuszności, które w wysokim stopniu posiadał Witołd, jakże odmówić pierwszeństwa powozowi, jeżeli pierwej nadjedzie, i jeszcze do tego niewiastom które oczywiście z daleka już młodym swym dostrzegł wzrokiem. By prawdę wyznać, do wątpliwości tych przykładało się i to w myśli chłopca, że starego Wendy bał się, a młodego niecierpiał instynktową odrazą jakąś.

I jak na toż powóz zupełnie bohatyrowi naszemu nieznany ale świetny bardzo, oczywiście Danglowski, dojeżdał już do przewozu, gdy jezdcy o kilkadziesiąt jeszcze kroków oddaleni byli. Chorąży pewny swego, nie spieszył się nawet, a na powóz ledwie uważał. Stanał wreście powóz nad samym brzegiem, a w minut parę zatrzymał się i konny orszak przy promie. Witołd postrzegłszy powóz, przycił do brzegu, i zawołał stanowczo na woźnicę.

— Zajeżdżajcie co prędzej.

Serce mu biło, bo wiedział że i w klasztorze go należycie wyłają, i nie był pewny czy się rzecz uda i ujdzie na sucho, ale czuł to że niepowinien był inaczej uczynić, i że nie uczyniłby za żadne skarby świata. Nie patrzał nawet na orszak konny, stanął na końcu promu z tej właśnie strony, z którejby konni wjechać mogli, chcąc niejako zatarasować im sobą drogę.

— Zajeżdżajcie! zawołał powtórnie.

Ale woźnica zawahał się chwilę, patrząc z ukosa na ten orszak tak pański i tak liczny, a tymczasem Chorąży Wenda, nie zwracając pozornie żadnej uwagi na to co go

otaczało, zbliżył się do promu tak blisko, iż koniem dotykał młodego przewoźnika.

— Ustąp się! rzekł krótko; byśmy mieli miejsce wjechać.

Młody Wenda zbliżył się także, i do tej przemowy dodał uśmiech szyderczy, rzucony na młodego chłopca. Uśmiech ten dobrze mu znany, ubodł go okropnie, ale zarazem dodał mu odwagi.

— Powóz ten pierwej nadjechał do przewozu; zagadł z uszanowaniem ale stanowczo.

— Co?! zawołał chorąży głosem potężnym, ale spokojnie i bez gniewu.

Pan Artur jeszcze się lepiej uśmiechnął, i już nawet głośno zaśmiał cieniutkim fistułowym głosem, i wzniósł do góry biczyk jaki trzymał w ręku, potrząsajac nim w sposób bardzo znaczący.

Ruch ten musiał być zapewne dostrzeżony w powozie; ozwał się bowiem w tej chwili głos kobiecy przestraszony nieco.

— Cofnij konie!.. niech jadą pierwej! rzekł do woźnicy.

— Zajeżdżajcie! zawołał znowu chłopiec zarumieniony z lekka.

— Ustąp! krzyknął tym razem groźniej już pan Wenda, i mars wystąpił mu na czoło, brwi się najeżyły, i z oczów łysnął gniew; a konia spiął, jakby chciał stratować zuchwałego chłopca, i podniósł rękę jakby go chciał uderzyć.

Krzyk przerażenia, krzyk kobiecy ozwał się w tej chwili z powozu.

— Powóz przyjechał pierwej! powtórzył trzynastoletni chłopiec. I są w nim kobiety! dodał z przyciskiem.

— Kobiety! powtórzył chorąży, zatrzymał się chwilę, i podniesioną ręką pokręcił wąsa, a na chłopca spojrzał z uwagą, jakby go teraz dopiero postrzegł. A to ty jesteś wychowanek ojca Dominika.

— Pod płotem czy na gnoju znaleziony, dodał młody Wenda.

— I mówisz, że tam są kobiety! ciągnął stary dalej, masz słuszność, kobietom należy się pierwszeństwo. Proszę cię tylko byś mnie i wnuka puścił razem, bo niechcemy stracić nabożeństwa; resztę potem przewieziesz.

To rzekłszy cofnął konia, i zgrabnym ruchem ręki dał znak by powóz zajeżdżał na prom, a zarazem tą samą ręką ku czapce zwróconą uprzejme ku powozowi rzucił przywitanie. Wyglądająca z niego kobieta grzecznie się odkłoniła, i powóz wjechał na prom, a za nim obaj Wendowie.

Witołd usunął się skromnie na bok, i ruszając wiosłem sterował promem.

Pan Krzysztof Wenda, zbliżył się ku powozowi, i raz jeszcze grzecznym ukłonem obdarzył siedzące w nim osoby; a było ich dwie tylko, widocznie matka i córka. Matka młoda jeszcze, dziś jeszcze była piękną, a przed laty musiała należyć do sławnych piękności, odznaczała się bowiem jej twarz zarówno regularnością rysów, białością płci, jak i wyrazem dobroci i słodyczy anielskiej, który z oczów strzełał, na ustach jej uśmiechał. I jeżeli ta twarz straciła młodzieńczą swą świeżość, to nietyle z przyczyny wieku, ale z innych zapewne powodów moralnych, bo na czole i twarzy, koło ust i w oczach widać ślady, długich, nigdy może nieskończonych cierpień moralnych. Córka jej, dziecko dziesięcioletnie, śliczna jak matka, ale piękniejsza o cały wyraz anielskiej niewinności, o cały urok swawolnej naiwności. Trudno sobie coś piękniejszego wyobrazić nad tę twarzyczkę okragłą, białą i rumianą, z dołkiem uśmiechu przy ustach, i z temi oczkami ciemno szafirowemi, które przysłaniały długie jedwabne rzęsy, i z których zda się dobywało się na wierzch jej dobre kochające serce.

Starsza pani odkłoniła się grzecznie, a dziewczynka z ciekawością swojego wieku zaczęła się przypatrywać nowym osobom jakie ją otaczały. Pan Krzysztof przyglądał się siedzącej w powozie z wielką uwagą, i z takąż samą patrzyła nań starsza pani.

— Jakem żyw mościumdzieju! ozwał się wreszcie pół głosem, gdzieś znam.

Uśmiech lekki roztworzył usta jadącej powozem.

— Pan Chorąży mnie nie poznaje.

— Jakem żyw!. a niech mnie!.. mościumdzieju.. i patrzę, patrzę... mówił chorąży przerywanym głosem.

A pani w powozie uśmiechała się coraz słodziej coraz milej, aż odmłodniała pamiątką zapewne przeszłości, która jej teraz przed oczy stanęła.

— Tfu!.. w imie ojca i syna... Jakem żyw, mościumdzieju; krzyknął nagle chorąży głosem, któremuby najmłodszy mógł pozazdrościć. Ta że to Krzysia! mościumdzieju....

— Krzysia, którą pan chorąży nieraz na kolanach dźwigał.

— Krzysia Bylicka... córka mego poczciwego Kaspra, z którym mościumdzieju nie w jedno zaglądaliśmy miejsce.. ale to do rzeczy nie należy.

— Dzisiaj Wolinska!

— A pani brygadierowa!.. witajże witaj mościumdzieju. Nie widziałem asindzki, jak w Warszawie pono, na dworze pana Stolnika litewskiago.

Pan Krzystof Wenda, należał do owej szlachty, co to nigdy nie przystawali na króla Stanisława Augusta. On dla niego i za życia i po śmierci, na tronie i w dziejach był tylko Stolnikiem litewskim.

— Asindzka ślicznie wyglądasz!. a gdzież pan brygadier, którego także gdzieś tam widziałem mociumdzieju w Warszawie.

— Mój mąż nie zdrów trocha; został w domu.

— Rozumiem!. musi należeć do wolnomyślących, do far-

mazonów, którym śmierdzi kościelne kadzidło... Jakem żyw mościumdzieju i ja takiego mam gagatka, alem go spędził z łóżka i nagnał na odpust... Ale prezentuję też asindzce wnuka mojego... Artura, no bo to teraz mociumdzieju takie jakieś niemieckie dają imiona ludzkim dzieciom. — A to córka asindzki?

— Córka moja!.. odrzekła pani Wolińska.

Dziewczynka nie słyszała już tego, bo w tej chwili zapatrzyła się na młodego przewoznika, który z swojej strony ciągle patrzał się na obie kobiety w powozie. I nagle pustym parsknęła śmiechem, a wskazując paluszkiem Witołda:

— Mamo jaki on śmieszny!.. wyrzekła.

— Fe! moję dziecię! coż wnim tak śmiesznego widzisz.

— Taki młody i już w zakonnym stroju.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że nasz bohatyr nosił rzeczywiście strój zakonny, i nigdy mu to na myśl nawet nie przyszło, żeby się to komu śmiesznem mogło wydać. Usłyszawszy te słowa zarumienił się mocno; po raz pierwszy uczuł jakiś wstyd fałszywy, a śmiech dziewczęcia tak go zabolał, że aż zabłysły mu w oczach dwie łzy. Ależ bo od razu, jak tylko ujrzał małą twarzyczkę dziewczyny, doznał szczególnego uczucia, zdało mu się jakby ją znał od dawna, może w snach lub marzeniach swych widział; i uczuł ku niej pociąg niewymowny. Wydała mu się tak piękną jak sobie wyobrażał aniołów, i tak dobra jak sobie anioła wystawiał... I ona śmiała się z niego.

— Jest to wychowaniec jednego z księży Karmelitów; mówił stary Wenda. Aa prawda; dla czego on chodzi w stroju zakonnym?... Dla czego powiedz! dodał zwrócony do Witołda.

— Jestem sierota! odpowiedział Witołd głosem smutnym ale pełnym wyrazu. Noszę suknię moich opiekunów i dobrodziejów.

— Sierota! zawołała pani Wolińska z wyrazem szczerego współczucia

— Mamo! on płacze.

— Boś mu śmiechem smoim przykrość zrobiła.

Kolej płaczu przyszła na dziewczynkę; jej oczy łzami napełnione zalśniły jak dwie promienne gwiazdeczki.

— Sierota!.. ozwał się pan Artur przedrzeźniając. Podrzutek, znaleziony, żebrak czy coś takiego... plemię zapewne cygańskie.

— Podrzutek! powtórzyła Brygadierowa; w głosie jej była smutna litość, a w oczach ciekawość, i zapatrzyla się nań z wrastającem zajęciem.

— Mociumdzieju! mógłbyś milczeć! obraża się tylko równych sobie lub wyższych... zagadł znowu Wenda stary głosem surowym, i zwrócony do Witołda dodał, kładąc mu rękę swą na głowę. Jesteś śmiały mój chłopze; lubię to. Zostań żołnierzem, a naprawisz grzech twoich rodziców.

— Przepraszam pana; zawołała dziewczynka śmiało zwrócona do pana Artura. On taki biały, niema w nim nic cygańskiego; cygani są czarni, tak jak pan.

— W rzeczy samej, przerwał jej Wenda głosem nieco smutnym; wszak mój wnuk nie ma czystej krwi polskiej. Mój syn mociumdzieju! znalazł potrzebę ożenić się z jakąś Włoszką... Jakem żyw wszystko to winniśmy panu Stolnikowi, który nam do kraju nasprowadzał dosyć tych zagranicznych gagatków i lafiryd. (C. d. n.)

BIEDNY PAJĄCZEK.

Gdzieś sobie pajączek prządł siatkę włóknianą
Tak skrzętnie w samotnym kąciku utkaną,
Że cieńsza i słabsza od cienkiej bielizny
Zasłoną się stała pajączej ojczyzny,
I biedny robaczek pod włóknem spylonem
Żył sobie swobodny, w swym domku omglonym.

Aż zawiał raz jakiś wiaterek złośliwy
W on kącik, gdzie drzemał pajączek lękliwy,
Zawionął i zabrał tkaninę spyloną
I zaniósł ją w jakąś komnatę złoconą;
W komnacie się ścielą wytworne bielizny
I szydzą z przędziwa ubogiej ojczyzny.

Więc zimno mu teraz w domeczku niekrytym
Złośliwie podstępem wietrzyka zdobytym,
I smutno, bo owa tkanina włókniana
Dla komnat złoconych niebyła utkana;
Ej wracaj nieboże do skromnej zagrody,
Bo tutaj z twą tkanką nie pójdziem w zawody!

. . . . . . a.

Najnowsze dzieła.

STARA PANNA.

Powieść w 1 tomie Kazimierza Bujnickiego.

Nowa ta powieść p. Bujnickiego należy do lepszych tego rodzaju utworów. Główna myśl na której osnuta powieść cała, nie jest nowa, bo nie raz już obrobiona w powieści i dramacie, ale autor przeprowadzil ją z talentem. Główną tej powieści zaletą jest prostota w opowiadaniu, trafność w odcieniowaniu charakterów, i moralna dążność. Niema w niej zawiłej intrygi, niema zdarzeń przerażających, ale co właśnie najważniejszą jest rzeczą w powieści, są charaktery konsekwentnie przeprowadzone od początku do końca; całe zawikłanie na nich spoczywa, przez nie się wiąże i rozwiązuje.

Przejdźmy treść powieści. Panna Julija Bogacka, doganiając czterdziestówki mieszka we wsi swojej dziedzicznej Julinie, i gospodaruja. Jest bogata, dobra i wcale przystojna, tem więc dziwniejszą jest rzeczą, że starą panną

została. Zrobił to zbieg okoliczności, a przyłożyło się własne jej usposobienie. Rodzice jej mając dwie córek, z których Julia była młodszą i ładniejszą, chcieli koniecznie wydać najprzód starszą próżną i szpetną, dziewczynę. To im się nie udało, i umierając zostawili dwie nie młode już panny. Julja za młodu nie wiele się troszczyła własnem zamężciem, bo oddana domomemu gospodarstwu, cichem i rozsądnem obdarzona usposobieniem, chętnie czekała na to by zamęście siostry pozwoliło jej wyjść za pana Wincentego, którego szczerze polubiła, i w którego namiętną wierzyła miłość. Lecz p. Wincenty mniej miał od niej cierpliwości, ożenił się z inną, a ona po śmierci rodziców odkwitając już ze zranionem sercem, nie bardzo dbała o zamęście, a oszukawszy się na p. Wincentym, niedowierzała uczuciom mnogich konkurentów swoich. Starsza siostra doczekała się wreszcie jakiegoś pułkownika, gbura i pijaka; po krótkiem a nieszczęśliwem z nim pożyciu, ucieka od niego, umiera bezdzietnie. Panna Julia o drugie tyle bogatsza, staje się celem wielu zabiegów interesowanych.

Autor opowiedziawszy tym sposobem jej przeszłość całą, wprowadza dopiero właściwe działanie. Ma ona przy sobie dalekiego krewnego, rotmistrza Jakóba Bogackiego, który się zajmuje jej gospodarstwem i ma syna Lucjana wychowującego się w mieście. Wzięła prócz tego do siebie sierotę po ciotecznej siostrze, której zajmuje się wychowaniem. W chwili gdy się działanie rozpoczyna, Tekla ma lat 17 a Lucjan po kilku latach niebytności przybyły ze szkół 21. W sąsiedztwie mieszka rozwódka pani. baronowa Althof, przystojna, choć już nie młoda, wykształcona w wielkim świecie, ale zepsuta, przewrotna i kokietka niepospolita. Ma przy sobie starego adoratora szambelana, który ją już nudzi, a więc aby się go pozbyć swata go z Julią. Są jeszcze dwa konkurenty wzdychające do szkatułki panny Julii, p. Spyliński marszałek, dumny i goły, i pan podczaszy Talerkiewicz, majętny dosyć, ale kutwa i lichwiarz. Otóż i wszystkie osoby powieści. Powieść z początku nie zbyt żywo i dramatycznie prowadzona, zaczyna się ożywiać.

Podczas gdy trzej konkurenci starają się przypodobać pannie Julii, co się zupełnie nie udaje, i zdybując się u niej, w rozmaite stawiają się kolizje, rozbudza się w pannie Julii jej chociaż czterdziestoletnie serce, i to właśnie do najmniej stosownego dla niej mężczyzny, bo do Lucyana, który choć młody i w mieście wychowany jest senzatem nieco. Ojciec Lucjana, dobry ale praktyczny człowiek, buduje na tem projekt ożenienia syna z Julią, i projektu tego nie tai nawet przed synem, chcąc go koniecznie namówić do tego. Lucjan ani myśli o tem, kocha Julię jak matkę prawie i czuje dla niej wdzięczność; więcej ma czułości do Tekli, ale nie kocha jej także, chyba także jako siostrę. Przykro mu to że widzi, jako obydwie kobiety są w nim rozkochane i ciotka i siostrzenica; on zaś sam zajęty jest baronową, która go kokietuje z całą wytrawną zalotnością. Julia mimo rozsądku, ulega słabości kobiecej w tej mierze, kocha się, stroi, i myśli że może w młodzieńcu rozbudzić wzajemność, co naturalnie Lucjana jeszcze więcej odstręcza. Boi się najwięcej Tekli, młodej i ładnej, widząc ile się także zajęła młodym Lucjanem. Tekla nawzajem, widzi miłość ciotki, co połączone z obojętnością Lucjana pogrąża ją w smutek. Lucjan wikła się coraz więcej z baronową, która zmiarkowawszy miłość tamtych kobiet do niego, chce go wywieźć za granicę. Otóż i całe zawikłanie, przechodzące przez różne zwykłe zdarzenia, wynikające ze starcia się tych wszystkich uczuć i charakterów. Julia i Tekla nie przestając się kochać nawzajem, coraz są smutniejsze, nie widząc dla siebie żadnego ratunku, bo obojętność dla nich Lucjana nadto widoczna. Przypadek tymczasem inaczej zadecydował. Lucjan kochający się na prawdę w baronowej, czyta nieostrożnie w pokoju zostawioną spowiedź pamiętnikową baronowej, poznaje jej charakter okropny i ucieka od niej, a zbliżając się coraz więcej do Tekli, postrzega dopiero jej wdzięki świeże i młodę, i wzruszony jej przywiązaniem dzieli jej miłość. Baronowa pałająca zemstą, pisze list do Julii, w którym odkrywa jej niby, że Lucjan i Tekla oszukują swą ciotkę i dobrodzijkę, i drwią z niej, a będąc z sobą w miłosnycb stosunkach, układają projekt ucieczki z domu. Julia boleśnie i podwójnie dotknięta, znajduje się w bardzo przykrem położeniu, bo ją trapi nieufność do tych których dotąd tak serdecznie kochała. Lucjan tymczasem wyznaje Tekli miłość swoją, lecz przez wzgląd na Julją, do której mocno są przywiązani, nie śmią nawet w przyszłość mieć nadziei. Julja szpiegując Teklę, dostaje w ręce jej bilecik do kochanka pisany, i z niego przekonuje się, że list baronowej był fałszem oczywistym i poznaje całą szlachetność obojga ludzi młodych. Postanawia zatem poświęcić siebie i uszczęśliwić kochających się, jakoż choć ze zranionem sercem uskutecznia to. Robi im niespodziankę, przyjmuje ich za dzieci swoje, wyrzekając się już na zawsze małżeństwa. Scena ta ostatnia, piękna i rozczulająca, ma swoją stronę nadzwyczaj pocieszną, i zgrabnie a z humorem w treść wplecioną. Zjeżdżają się właśnie trzej konkurenci, i starają się jeden drugiego prześcignąć w łaskach bogatej dziedziczki, gdy ona im z niechcenia opowiada, jako Tekli zapisała cały majątek. Wielbiciele odskakują, jakby ich ukropem zlał, i oczywiście wynoszą się jeden za drugim, mimo że Julia chcąc sobie pożartować z nich, stara się zatrzymać ich w domu.

Na tem właśnie powinienby być koniec, ale autor przeciąga jeszcze powieść dość obszernym i niezbyt potrzebnym epilogiem, który dodał zdaje się dla jeszcze moralniejszego zakończenia. Nie chce nawet grzesznicy baronowej zostawić bez poprawy. Lucjan z rady Julii wyjeżdża za granicę, z kąd po latach trzech gdy powróci, ma się dopiero z

Teklą żenić. Jedzie z przyjacielem do Włoch, i tam w Rzymie zdybuje się niespodzianie z baronową, która stara się go nazad przyciągnąć. Lucjan nie waha się wprawdzie i odmawia, ale autor niewiedzieć dla czego nadaje jego charakterowi inaczej dotąd występującemu, rodzaj słabości, której mieć nie powinien jako człowiek o ile go pierwej widzieliśmy zdrowo i czerstwo rozumujący. Ma więc nieco słabości dla baronowej, która mszcząc się na nowo za swe daremne zabiegi, zawikłuje bohatyra w jakąś awanturę z policją rzymską. Lucjan wydobywszy się z niej jedzie do Neapolu; na drodze ratuje powóz podróżny od rozbójników; a w tym powozie znowu pojawia się baronowa, przestraszona i bez przytomności. Lucjan raniony w potyczce z bandytami, musi się zatrzymać w drodze; choruje długo dosyć, czule pielęgnowany przez baronową, która zniszczona na zdrowiu i majątku, żałuje po części swojej przeszłości, tak źle przepędzonej. Lucjan wraca do kraju, i żeni się. Jego przyjaciel który go witał jeszcze we Włoszech, wraca także i przynosi wieść o śmierci baronowej, przyspieszonej rozpaczą po odjeździe Lucjana, któremu zapisuje cały majątek i przesyła mu jako dar pośmiertny serce swoje w srebrnej puszce. Majątku nieprzyjął, ale oddał go człowiekowi obcemu, przez zemstę skrzywdzonemu, serce zaś kazał pogrzebać w przygotowanym już dawno dla niej grobie. Chociaż kochał zawsze żonę, niemniej przeto chodził na grób baronowej — właściwie niewiedzieć po co i na co.

Do uwag naszych o tej powieści dodamy jeszcze, że mimo prawdziwych jej zalet nie czyta się z wielkiem zajęciem, bo jest ciężko dosyć napisana, bez tej powieściowej lekkości, która przeskakując z epizodu w epizod, sypiąc dowcipem gdyby iskrami, i dramatyzując najdrobniejsze szczegóły, jest prawdziwą powieści ozdobą. W opowiadaniu całem niemal panuje rodzaj moralnej sztywności jak gdyby ta częsta starych panien wada weszła w samą traktującą o niej powieść.

Rozmaitość.

*** Dołączona do przeszłego numeru rycina** przedstawia. *Ubiór od wyjścia.* Kapelusz jedwabny, przystrojony gwoździkami axamitnymi i blondyną. Suknia i mantylka jedwabna wstążkami gazowemi z frendzelką i małemi guziczkami czarnemi przystrojone. Suknia wysoko zachodząca, stanik gładki spięty z przodu na czarne guziczki, spodnica o trzech falbanach z których każda obszyta wstążką gazową marszczoną i frendzelką. Mantylka z tyłu wysoko zachodząca, z przodu otwarta, po bokach wcięta, zaokrąglona z tyłu na kształt szalu, z przodu poły krótkie, prawie graniaste. Pod każdą połą jest sznureczek któren się związuje koło stanu, aby przód mantylki gładko leżał; obszyta jest wstążką gazową, marszczoną w poprzek i frendzlą szeroką dokoła. Kołnierz i rękawki koronkowe. *Ubiór młodej osoby.* Włosy w pukle nisko spadające. Suknia z materyi szkockiej w drobne kratki niebieskie z białem. Stanik z baskiną obwisły, z przodu otwarty; baskina krótka, po bokach wycięta; rękawy długie i szerokie, marszczone koło ręki, stanik obszyty dokoła neżką z tej samej materyi i spięty z przodu trzema fontaziami, u pasa fontaż z długiemi końcami. Spodnica gładka i szeroka. Półkoszulek tiulowy, neżką garnirowany.

* Dzisiaj nastąpi przedstawienie na korzyść ochrony ubogich dziewczątek, połączonej z zakładem szwalni, o którem już po dwakroć donieśliśmy. J. O. księżna Sapieżyna zajmując się gorliwie dobrem wspomnionego zakładu, zajęła się również czynnie tem przedstawieniem i dobrała artystów dramatycznych i muzycznych, w takim doborze, iż to przedstawienie będzie jednem z najświetniejszych. Już dawniej donieśliśmy którzy artyści dramatyczni wystąpią w kwotlibecie. Z wymienionych nie wystąpi jedynie pan Smochowski. Jako angażowany przy dzisiejszym składzie sceny, pomimo wszelkiej gotowości nie mógł tego uczynić bez przyzwolenia dyrekcyi teatru polskiego. Dyrektor zaś na listowną prożbę Jaśnie Oświeconej księżnej Sapieżynie przyzwolenia tego odmówił.

* Nakładem redaktora przyjaciela domowego wyszedł litografowany portret Sadyka Baszy (Czajkowskiego), z podpisem iż litografia ta zrobiona jest podług pierwotworu olejnego Kornela Szlegla Jesteśmy proszeni oświadczyć w imieniu p. K. Szlegla «iż czując potrzebę wyprowadzenia publiczności z błędu, zaprzecza wprost temu, jakoby podług jego obrazu olejnego ta litografia była zrobiona.» —

* W sobotę przedstawionej w niemieckim teatrze dramat oryginalny pod nazwą «Szermierz z Raweny, utworu autora bezimiennego, który na nadwornym teatrze w Wiedniu z tak wielkiem powodzeniem powtarzają i u nas dosyć się powiódł; godziło by się pomyśleć o przełożeniu na nasz język.

* W niedzielę przy sprzyjającej pogodzie odbyła się wielka parada kościelna, składająca się z czterech pełnych batalionów pod dowództwem pułkownika, przed komenderującym czwartą armią, generałem kawaleryi, hr. Schlick.

Tegoż samego dnia pod dyrekcyą p. Piotrowskiego w archikatedralnym kościele wielka msza Diabellego w której współdziałała w pierwszym głosie panna Schneidinger, elewka z muzycznego konserwatoryum Salcburgskiego. Ofertoryum prof. Procha odśpiewała, można powiedzieć, po mistrzowsku, głos sopranowy, mocny, czysty, dźwięczny młody. P. Zimmermann odegrał solo na skrzypce z wielkim urokiem dzielnie i po mistrzowsku. Wieczorem banda wojskowa pułku Coronini grała na promenadzie, co zwykle dawniej 1 Maja się rozpoczynało. Panna Schneidinger ma występywać w teatrze we czwartek w operze „Marta"

* Z darów znakomitej damy przybyło do kościoła archikatedralnego lustro bardzo piękne i antipodium do wielkiego ołtarza bardzo gustownie i bogato tkane; słyszeliśmy nawet że kaplica gdzie się znajdują grobowce Zamojskich, a która teraz służy na depozytoryum, będzie restaurowana.

Znaczenie poprzednich Szarad:
1. Komora. 2. Palica. 3. Muchomory.

Szarady.

1. Pierwszą i trzecią ptak wiosny nam głosi
Drugą i trzecią, pluc słabość przynosi,
Całość gdy doara mocno się cieszymy
Bo każdą potrawę, z apetytem zjemy.

2. Pierwszę spokój nakazujesz.
ú od drugiej boleść czujesz

Co zaś całośc chceszli wiedzieć
Możesz za nią w wodzie śledzić.

3. Pierwsze bożek, Grecyi, Rzymian strachem
Ozdobą świata z drugą, która ci coś daje,
Zmienia się gdy masz ją już pod swoim dachem
I niebem lub piekłem mężowi się staje.

Przyjechali od dnia 13. do 15. Kwietnia. do Lwowa.

PP. Lityński Jan, z Brzeżan. Łuczkiewicz Henryk, ze Złoczowa. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. z Potuczyc. Agopsowicz Krzysztof, z Włodzimierza. Kędzierski Juliusz, z Meryszczowa. Cetner Albert, hr. z Podkamienia. Koch Ernst, z Dąbrowicy.

PP. Humnicki Władysław, hr. z Rozpuciego. Białobrzeski Aleksander, z Przemyśla. Wiśniewski Ludwik, z Putiatycz. Mrozowicki Jan, ze Sokołówki. Dobrowski Karol ze Złoczowa. Smarzewski Seweryn, z Hankowic.

PP. Orłowski Oktawian, z Krakowa. Michałowicz Klemens, z Doliny. Wojczyński Alfred, z Tuligłów. Bobrowski Klemens, z Korsowa. Domaradzki Seweryn, ze Stanimierza. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Tretter Konstanty, z Łonia.

Wyjechali od dnia 13. do 15. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Komarnicki Jan, do Magierowa, Micewski Edward, do Tuczemp. Kabath Aleksander do Humnisk. Puchalski do Mościsk. Zaleski Leo, do Kolbujowic. Krzeczunowicz Józef, z Jaryczowa. Urbański Rudolf do Dobrosina. Czajkowski Michał, do Wasiłowa. Malczewski Henryk, do Czerniowic. Kunasiewicz Władysław do Rohatyna. Kosakowski Władysław do Złoczowa. Winnicki Hipolit, do Tarnopola. Wybranowski Roman, do Dzwinogrodu. Wiktor Tadeusz, do Świrza.

PP. Mierzyński Rafał, do Barytowa. Strzelecki Eugen. do Wyrowa. Falkowski Michał, do Głuchowa. Jaruntowski Jan, do Hermanowic. Jrosławski Grzegórz do Pustomyt. Zamojski Adam hr. do Krakowa, Jakubowicz Józef, do Sanoka. Golejewski Kornel hr. do Stryja.

PP. Komorowski Franciszek hr. do Łuczyc. Karnicka Ewelina hr. do Świstelnik. Onyszkiewicz Adam do Tolczowa. Onyszkiewicz Roman, do Złoczowa. Bobrowski Klemens do Korsowa. Manasterski Józef, do Błęzowa. Jazwiński Alexander, do Bortnik. Padlewski Alexander, do Dołhego.

Lwów, 16 Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 39 złr. 55 kr. — Żyta po 27 złr. — kr. do 27 złr. 20 kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. 30 kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. 50 kr. do 21 złr. — kr. —. Ziemniaków po 10 złr. — do 13 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 15 kr. do 6 złr. 15 kr. Centnar słomy 3 złr. 8 kr. do 3 złr. 50 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 16. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr.	$126\frac{5}{8}$	Pożyczka 5%	$81\frac{1}{4}$	$4\frac{1}{2}$	$71\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{8}$	Akcye banku			996
Londyn za 1 funt szterl.,	12 22	Kolej północna			1935
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{1}{4}$	Obl. ind.			$73\frac{7}{8}$
Paryż za 300 franków	$147\frac{7}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą			$101\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa			$85\frac{1}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	«	5	»	54	»	5	«	58
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	10	»	10	«	15
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	50	»	94	«	20
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		74	»	—	»	74	»	20
5 proc. pożyczka narodowa		86	»	—	»	87	«	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**